

Sport zamiast wojny, czy wojna zamiast sportu?¹

Sport jest zajęciem wojowników, aby nie zardzewieli w czasie pokojowej bezczynności. Jest też areną ekspresji uczuć stadnych, podtrzymujących poziom napięcia i stan gotowości do służby wspólnocie. Jest nadto najlepiej zakonserwowanym w pamięci historycznej, a zarazem obdarzonym aksjologicznie ciepłym przyzwoleniem organizacji międzywojnia. O sporcie wielu pisało i mówiło jako o substytucie walki rzeczywistej, z ambicjami nie tylko okazjonalnego, lecz niemal wiecznotrwałego jej zastępstwa. Róbcie sport zamiast wojen! Rzadziej odkrywa się jego rolę komplementarną, kiedy to igrzyska byłyby specyficzną, ucywilizowaną formą wojny krwawej i bezładnej. Zupełnie pomija się zaś najbardziej wstydliwą możliwość, mianowicie zdolność do przekształcenia się w zarzewie wojny realnej. W tym ostatnim przypadku, różnica dotyczyłaby jedynie stopnia eskalacji konfliktu, nie zaś istoty.

W teorii wszystko przebiegało w zasadzie zgodnie z założeniami. Nawet niewygodne fakty z okresów wojen nowoczesnych usiłowano wytłumaczyć niezdolnością ruchu olimpijskiego do pełnego partnerstwa wobec groźnych i nieokiełzanych sił militarno-politycznych. Święte kanony „pokoju bożego” musiały tedy otrzymać swe zminimalizowane i zrjonalizowane wersje, jak ognia unikające posądzenia o utopizm i naiwność. W miejsce starożytnego hasła „Jeśli Igrzyska – to nie ma wojny” pojawiło się eleganckie zawołanie dżentelmenów: „Jeśli wojna – to nie ma Igrzysk” Obowiązywało ono zresztą wyłącznie w stosunku do wielkich wojen światowych, zupełnie nie dotycząc batalii o mniejszym zasięgu, na pewno zaś tych, w które nie angażowały się wprost sportowe mocarstwa (z przodującego kręgu euroamerykańskiego, dodajmy).

Z listy najbardziej spektakularnych faktów nie da się jednak ułożyć żadnych prawidłowości, nawet w przypadku unormowanej, zda się, sytuacji po 2 wojnie światowej. Czasem mieliśmy do czynienia z nerwową, raczej propagandową reakcją na polityczne wydarzenia (przykład: protest USA z czasów prezydentury Jimmy'ego Cartera wobec rosyjskiej inwazji w Afganistanie). Innym razem obłudne milczenie pokrywało najbrudniejszą rzeczywistość (wojna koreańska, wojna wietnamska, powstanie węgierskie, interwencja w Czechosłowacji, niekończące się wojny na Bliskim Wschodzie, wojny afrykańskie, wojna o Malwiny itd.). Solidarność międzynarodowa odzywała

¹ Fragment przygotowywanej przez autora książki zatytułowanej *Pożegnanie z Olimpią*.

się w porę w nielicznych tylko wypadkach, na przykład wobec niepoprawnego *apartheidu*, a od niedawna względem terroryzmu islamskiego.

Nie było w ogóle też mowy o przerywaniu olimpijskiego świętowania w okresie wojen dawniejszych: burskiej, abisyńskiej, hiszpańskiej, ani też słabo widocznych z perspektywy Lozanny rewolt i walk środkowo- oraz południowoamerykańskich, tudzież azjatyckich i afrykańskich (miejscowych i „zewnątrznych”, czyli kolonialnych, po prostu). Pojęcie „wojny”, definiowane na ogół poprzez charakterystykę stosunków międzynarodowych, nie trafiało zresztą niemal nigdy na teren walk czysto „wewnętrznych”, czyli mieszczących się w granicach danego państwa (suwerennie pacyfikującego każdy odruch buntu swoich mniejszości: narodowych, religijnych, rasowych, generacyjnych i klasowych). Gdyby stworzyć sumaryczny, scalony obraz militarnych wydarzeń w świecie w całym okresie od pierwszych do ostatnich Igrzysk ateńskich, wyszłoby na jaw, iż nowożytny ruch olimpijski permanentnie łamał zasadę *ekecheirii*, odbywając niemal każde Igrzyska w takt trzasku nieodległych salw karabinowych, huku zrzuconych bomb i krzyku mordowanych.

Czy znaczy to, iż należy obwinić MKOl. za hipokryzję, albo oskarżyć światowy ruch neoolimpijski o beczynność, strusią politykę, czy o programową bierność w sprawie skądinąd najbardziej brzemiennej w skutki. Bynajmniej. Powszechne i uzasadnione jest przekonanie, iż olimpizm uczynił w istocie naprawdę wiele dobrego dla pokoju i braterstwa między ludźmi i narodami. Być może, w trudnym, dramatycznym 20 wieku na więcej nie było go stać (problem ten wymaga szczegółowego, naukowego zbadania). Niewykluczone zresztą, iż generalnie zawsze lepiej było i jest, mimo wszystko, poddać się słynnej formule Avery'ego Brundage'a (sformułowanej po ataku terrorystycznym w Monachium 1972): *The Games must go on!*, niż ustępować pod naporem tragicznych faktów, a więc odwołując nie tylko tamte, ale i każde następne Igrzyska. Przeciwno posądzeniu o oportunizm można zatem zawsze wytoczyć argument za realizmem i odpowiedzialnością. Czyż w istocie lepszym wyjściem byłby romantycznie piękny, choć pusty gest honorowego samobójstwa, czyli samorozwiązania całego, globalnego ruchu sportowego? Czy dopiero po rozejściu się do domów można by przedsięwziąć tradycyjne wyprawy wojenne, tyle że jawnie i bezwstydnie, bez poczucia winy i brzemienia ideowej niestosowności? Czy, mimo wszystko, nie byłby to wybór większego, a nie mniejszego zła?

Problem pojawił się wszelako na nowo, kiedy okazało się, że sport, w tym sport olimpijski, nie musi bynajmniej łagodzić obyczajów, nie musi występować w roli oliwy rozlewanej na wzburzone fale, nie musi zastępować wojny jako jej kulturalnie złagodzona substytucja. Niczego nie musi, aczkolwiek wiele potrafi wydobyć ze swej istoty, wykazując, po dłuższej fazie utajenia i kamuflażu, zdolność do agresji zdecydowanie autonomicznej, wyzwalającej

te same namiętności, które panowały przed erą sportu. Sport potrafi wrócić stamtąd, skąd ongiś wyszedł.

Symptomy tego powrotu są wielorakie. Najbardziej spektakularnym są wojny plemienne, toczone przez zorganizowane wokół klubów sportowych i reprezentacji narodowych watahy rozbójnicze. Źródłem emocjonalnego pobudzenia jest potężna a ślepa miłość do „naszych barw” (nazwy, sztandaru, panującej dynastii, swojskich bohaterów etc.), podniesiona na wyżyny absolutne, a z pewnością znacznie powyżej zdrowego rozsądku i powszechnych reguł moralnych. Szowinizm ten realizuje się w myśl kanonów bitewnych, dokładnie tak samo funkcjonujących, jak w prawdziwych armiach, gdzie dobro i honor naszych emblematów znajdują się znacznie powyżej jakichkolwiek innych wartości, zaś czyny popełniane w imię ochrony sportowych, lub, jak kto woli, *quasi*-sportowych walorów i ich znaków uznane są za usprawiedliwione *a priori*, na mocy jakiejś niepisanej, bezwzględnej zasady, znanej wszystkim bogom wojny wszystkich kultur świata.

Sportowe kampanie plemienne mogą przybierać różne postaci, od bezwzględnego wyniszczania przeciwnika (czyli boiskowego rywala) na drodze ekonomicznej i organizacyjnej, poprzez destrukcję psycho-moralną, aż po inicjowanie i prowadzenie regularnych bitew na stadionach i poza nimi. Wokół boiskowi wojownicy nie cofają się przed niczym. Gotowi są na każdą brutalność, podłość i okrucieństwo, poniżanie godności, fizyczne kaleczenie i zadawanie cierpień, a wreszcie, sprowadzanie śmierci na wrogich fanów spod innych znaków. Sami są również gotowi poświęcić wszystko, ze zdrowiem i życiem włącznie, aby tylko dać świadectwo swemu fanatyzmowi oraz żądzy niszczenia innych i siebie. Dominującym uczuciem walczących stron nie jest wtedy żadna „zbiorowa identyfikacja”, ani wzrost „autosympatii” czy też pospolity zestaw „dobrych życzeń dla swoich” (przeplatanych pobłażliwą tolerancją dla rywali), lecz autentyczna wrogość, przekształcająca się w nienawiść, zaślepienie i czynną agresję, przy całkowitej niezdolności do kompromisu, rozejmu, czy cywilizowanego pokoju.

Inwazja podobnych emocji i postawy skierowana zostaje również przeciwko otoczeniu, zdefiniowanemu z góry jako nam nieprzychylny. Zalicza się doń ogół sędziów, tych zwłaszcza, którzy nie uczestniczą zbyt demonstracyjnie w zniszczeniu naszego wroga, a także organizacje nadrzędne, *nota bene* różnych szczebli władzy, od lokalnych po międzynarodowe. Każdy, kto zostaje uznany za sojusznika naszych nieprzyjaciół staje się automatycznie godnym potępienia i zwalczania obiektem naszej nienawiści. Identycznie złe, nieprzychylny odniesienia wyłaniają się wobec ogółu mentorów i rozjemców, zarówno „miękkich” (czysto ideowych, moralizatorskich i pedagogicznych), jak i realnie „twardych”, usiłujących wkraczać pomiędzy walczące strony (dotyczy to szczególnie sił porządkowych, w tym policyjnych). Obiektem gniewu stają się też wszelkie nie stronnice, nie szowinistyczne media, perswadujący

rodzice i nauczyciele oraz ogół spokojnych obserwatorów, niechętnych przekształcaniu sportu w pole rozgrywki dzikich instynktów.

Podział na „naszych” i „obcych” dokonuje się w myśl rewolucyjnej zasady, iż „nie siada się okrakiem na barykadzie”, a sprawdzianem tożsamości przestaje być już zwykła deklaracja „za kim jesteś?”, lecz czynne uczestnictwo w burdach i bijatykach. Kochać można wyłącznie czynem, a najmocniej, zadając ból tym, którzy nie są przez nas miłowani. Mores nienawistnego ryku, palonych sztandarów z obcymi znakami oraz bezpośredniej, fizycznej przemocy łączy się bowiem ze wzgardą dla każdej bierności, spokoju i rozwagi, utożsamianych z brakiem męstwa, beczynnością i słabością.

Istnieje teoria, że gdyby nie sport, to watahy szalikowców, zwanych też eufemistycznie „pseudokibicami” (w odróżnieniu od „prawdziwych kibiców”) znalazłyby sobie inną drogę ujścia nagromadzonej pasji niszczyielskiego wojowania. Sport, powiada się, jest jedynie pretekstem, przypadkowym, a nie koniecznym układem odniesienia, tym zaś co go wyróżnia spośród innych, społecznie dostępnych możliwości, to jego poręczność. Okazuje się on, mianowicie, w praktyce najwygodniejszym i najszybszym sposobem ześrodkowania agresywnych mocy. Zgromadzeni ludzie, zwłaszcza krewka młodzież męska, stanowią doskonały materiał na nadpobudliwy, irracjonalnie działający, żywiołowy tłum, ten zaś łatwo daje się zmanipulować, przeobrażając się z manifestującej ciżby w groźne kohorty wandalów i bandziorów.

Czy podobne cechy wykazuje każda podniecona, niekontrolowana czereda, o wysokim stopniu pobudzenia, ale o relatywnie niskiej podatności na hamowanie (z zewnątrz i z wnętrza struktury jednostek)? Oto jest pytanie. Ochotę na demolowanie i lincze mogą wykazać przecież również tłumy wracające z koncertów, z kin, a nawet z politycznych mityngów. Dlaczego wszak jakoś nic o tym nie słychać, każdą natomiast imprezę sportową, zwłaszcza w grach zespołowych, zwłaszcza w futbolu, trzeba z góry traktować jak wydarzenie o najwyższym poziomie społecznego ryzyka (by powstrzymać się przed mniej eufemistycznymi określeniami)? Czy poszukiwanie usprawiedliwienia sportu za wszelką cenę nie rozmija się wszak z poczuciem rozsądku i elementarnej uczciwości?

Można wysunąć zasadnicze wątpliwości. To co się dzieje w sporcie i wokół sportu jest, niestety, tylko w pewnym zakresie osadzone w anomaliiach życia zbiorowego jako takiego, w przeróżnych nieprawidłowościach cywilizacyjnych, uwiądzie uczuć rodzinnych i państwowych, biedzie, chłódzie i głodzie, w zagubieniu jednostek, kryzysie kultury, alienacji i nie dopieszczeniu młodych pokoleń. Sport nie może wciąż zrzucać odpowiedzialności za swe własne grzechy na kogoś lub na coś innego, lecz przyjąć wreszcie do wiadomości, iż w poważnej mierze sam jest samodzielnym źródłem zła, nie tylko tego, które doń przyłgnęło i które od dawna, chcąc nie chcąc, firmuje swoim szyldem. Przesłanek do tej tezy dostarczają, po pierwsze, fakty (z którymi się

nie dyskutuje), po drugie głębsza analiza esencjalna, sięgająca do ukrytych mechanizmów ludzkiej psychiki i kształtów ich społecznego wyrazu.

Fakty są zaś nieubłagane. W najbardziej umiłowanym i najpopularniejszym sporcie świata, czyli w piłce nożnej, dochodzi do pojawienia się identycznych zjawisk pod wszystkimi szerokościami geograficznymi, w różnych kulturach, religiach i ustrojach, w społeczeństwach zarówno biednych, jak i bogatych, wykształconych i ciemnych, co więcej: na rozmaitych szczeblach rozwoju tej dyscypliny. Mniej więcej tak samo się ludzie zachowywali 100 i 50 lat temu, jak czynią to obecnie, co najwyżej wzrosła swoboda ekspresji i formy wyrażania emocji, na niekorzyść stylu współczesnego (prawdopodobnie bardziej plebejskiego i chamskiego, niż ongiś bywało). Gra dwóch jedenastek odtwarza bowiem archetyp plemienności w tak sugestywnym wydaniu, iż powoduje niejako sam o czynne ożywienie atawizmów, z jednej strony wymuszając podobne zachowania jak w dawnych bataliach małych oddziałów na maczugi i dzidy, z drugiej zaś cofając publikę o setki i tysiące lat w metodach zachowania (choćby w akceptacji sprytu faulowania, mąactwa i brutalności „naszych”), z przeniesieniem jej z teatru sportowego do życia samego, i z powrotem.

Kultura dokonała dawno temu wysoce racjonalnego rozdziału między realnością a intencjonalnością, ale sport zdołał, tu i ówdzie, odwrócić ten proces. Człowiek prymitywny lub prymitywizujący się na czas wydarzenia stadionowego, ze zdumiewającą łatwością miesza te dwie sfery, żyjąc jakby w jednym tylko, heterogennym wymiarze sprzeczności. Nie wiadomo przy tym, czy uczestniczy on w świecie realnym całkowicie, czy tylko wyimaginowanym, okazując rzeczywistą radość lub wściekłość z powodu jakiegoś gola we wczorajszym meczu ligowym (przynależnym raczej do sfery intencjonalności), mniej zaś się przejmując spadkiem kursu na giełdzie lub jeszcze bardziej realną chorobą własnego dziecka. Sport skłania do utrwalenia tego stanowiska i uznania, że wygrana-przegrana Realu, Arsenalu czy Legii to jest sprawa ważna w obrębie twardej rzeczywistości, toteż na „pół-rzeczywistość”, względnie na „nie-rzeczywistość” konwencji meczowej reaguje tak, jak się odbiera świat wprost dany zmysłom, przenosząc wywołane emocje na teren poza boiskowy.

Gdyby widzowie teatralni w podobny sposób odnosili się do akcji sztuki, to jeszcze przed zapadnięciem kurtyny (bardziej krewcy już po pierwszym akcie) powinni rzucić się z pięściami na Makbetową, Harpagona i Senatora z „Dziadów”, następnie zaś w zgodnym, humanistyczno-patriotycznym zapale zlinczować aktorów, pobić reżysera i inspicjenta za to, że niedostatecznie bronili cnoty, reprezentowanej przez naszych ulubieńców, grających akurat przydzielone im role pozytywnych bohaterów. Czy nie uznalibyśmy takich zachowań za aberracyjne? Nie zauważamy natomiast, iż podobnym odruchom w sporcie przyznajemy prawo istnienia, a nawet dajemy im monopol

na organizowanie zbiorowej wyobraźni. Przestaje nas razić zatem zupełnie niedojrzały rodzaj etyczności, owa klanowa zaciekiłość, ćwiczona na treningach i potęgowana na odprawach, a widoczna w każdej scenie boiskowych wydarzeń oraz, pochodnie, acz koniecznie, w zachowaniu widowni. Poddając się nastrojowi tłumu, pytamy potem po ochłonięciu: dlaczego ci ludzie tak się nienawidzą, dlaczego obrzucają inwektywami, dlaczego rwą się do bójek?

Jeśli prawdą jest, że uczucia sportowe są autentyczne i głębokie, to w takim razie sam sport, przynajmniej w niektórych konkurencjach, stanowi formę rekonstrukcji atawizmów, czyli odkrywania na nowo, wydobywania z niepamięci jakichś dawnych, prehistorycznych odruchów stadnych, opartych na strachu przed realnym bądź wyimaginowanym niebezpieczeństwem zewnętrznym oraz silnej, często ślepej, irracjonalnej reakcji agresywnej. Atawizmy te zostały kiedyś przezwyciężone przez kolejne doświadczenia, dyscyplinujące strukturę społeczną, zwłaszcza poprzez racjonalizację przeżyć i samo narzucenie kulturowych ograniczeń, a więc poprzez stłumienie instynktów wędzidłami obowiązków i wartości.

Czy kultura jest wszakże w stanie zlikwidować, usunąć, a tym samym unieważnić raz na zawsze wszelkie stymulatory i regulatory z tamtej rodem, odległej przeszłości człowieka epoki kamienia i maczugi? Żywimy naiwnie taką nadzieję w nadzwyczajnych, pełnych patosu i wzniosłości chwilach „pojednania” (obecnego, na przykład, przez kilkanaście godzin żałoby po śmierci Jana Pawła II w gronie zwaśnionych kibiców Cracovii i Wisły). Tymczasem okazuje się, że nadzieja jest płonna, bo krótkotrwałe są jej skutki.

W postaci szczątkowej, owe potężne żywioły frustracji i agresji wykazują zdolność do przetrwania, w okresie braku zapotrzebowania pozostając ukryte gdzieś w mrokach nieświadomości biologicznej i kulturowej, po to ostatecznie, by dać znać o sobie w chwilach odkrywania zawartości zbiorowej anamnezy i następującej potem ochocie do ponownej ekspansji. Walki sportowe spełniają tedy funkcje przekraczające ich dzisiejsze, aktualne przesłanie substytutyczne. Wchodzą mianowicie dość łatwo w swoją rolę maieutyczną, pomagając w konsekwencji urodzić, jakby na nowo, to co już kiedyś było, ale zostało zapomniane i wyparte poza próg świadomości i oficjalnej kultury. Tworząc obecnie przypomnieniowe treści naocznych doświadczeń stadionowych, dajemy im szansę, aby zostały odtworzone schematy i klimaty dawnych bojów, przede wszystkim zaś strategię niebezpiecznych, grupowych polowań oraz najbardziej traumatycznych, krwawych potyczek z nieprzyjawnymi rywalami.

To co stanowi siłę i źródło najwyższej atrakcyjności niektórych dyscyplin sportowych, zwłaszcza przestrzennych gier zespołowych, okazuje się powodem ich nadzwyczaj destrukcyjnego wpływu w zakresie doboru wartości, kształtowania postaw i zachowań, a także jednoznacznie relatywistycznej, czysto plemiennej samooceny etycznej. Znikają wtedy wszelkie hamulce.

Wygrać muszą bowiem tylko „nasi”, cokolwiek zaś przyczynia się do naszego sukcesu musi być z góry uznane za usprawiedliwione. Dotyczy to więc także działań obiektywnie nagannych, złych, krzywdzących innych, w innych warunkach, z pewnością uznanych za niegodne człowieka (i sportowca).

Ożywają dawno uspięne demony, a na powierzchnię wydostają się monstra i potwory przeszłości, o których mniemaliśmy ufnie, iż stanowią folklor ze starych mitów, pieśni i baśni, przebrzmiałych, zda się, i niemożliwych do ożywienia. Powrót do Olimpii nie stał się zatem, bo nie mógł się okazać li-tylko niewinną idyllą Jakże chętnie bowiem i jak spontanicznie, z jak radosnym podnieceniem, z jak przesywającym nas dreszczem mistycznych emocji uczestniczymy w seansach odtwarzania prostych i schematycznych, ale z reguły prymitywnych odruchów, lęków i tryumfów, napędzanych mrocznym poędem plemiennych egoizmów! Jakże trudno nam wtedy wnosić, do samych siebie, pretensje, iż nie potrafimy wznieść się ponad poziomy, że nie umiemy zachowywać się, na przykład, szlachetnie, po rycersku, z poszanowaniem rywala, wedle powściągów etycznych i reguł prawa! Rozmijają się przecież tutaj i stają do konfrontacji struktury z różnych czasów i etosów, z innych hierarchii wartości i odmiennych koncepcji człowieka jednostkowego i zbiorowego. A z góry wiadomo, która ze stron sporu skazana jest na pierwszeństwo, która zaś zostanie odrzucona w praktyce jako pretensja naiwna i niewczesna. Jedyne, co zdołamy czasem osiągnąć, to nieco złagodzić formy objawianych uczuć, ale doprawdy nie ich sens i kierunek. Przyznajmy się więc szczerze: czyż można nie zasmucić się z powodu porażki „naszych”? Czy potrafimy nie cieszyć się, kiedy nasi wygrywają? Kogo stać na bezwzględną bezstronność, obiektywizm i sprawiedliwość?

Pojawia się w tym miejscu pytanie o szansę okiełznania tych niezwykłych, szalonych namiętności, wzniecanych przez igrzyska, mecze, turnieje i rozgrywki ligowe? Są chyba tylko dwa sposoby, warte namysłu, a może i wypróbowania w praktyce. Trzeba albo 1) zmienić naturę człowieka, ukształtowaną *nota bene* nie dziś i nie wczoraj, lecz w ciągu jego długich, wielce powikłanych dziejów. Albo też należy 2) zlikwidować obiektywną bazę niezdrowych, niszczących uczuć społecznych.

Pierwsza droga nie wydaje się możliwa do przejścia; człowiek ani nie może przekreślić swej historii, ani nie ma prawdopodobnie bezpośredniego, natychmiastowego wpływu na przemianę swej istoty. Pozostaje druga metoda, co prawda radykalna, szokowa i bolesna, niczym zabieg chirurgiczny bez znieczulenia, ale stwarzająca szansę na szybkie opanowanie choroby. Co więcej, funkcjonująca nie tylko w sferze skutków, ale sięgająca najgłębszych przyczyn. Polega ona mianowicie na likwidacji co najmniej niektórych, najbardziej niebezpiecznych dyscyplin sportowych, czyli na częściowym powtórzeniu zabiegu Teodozjusza Wielkiego z 393 roku, zakazującego rozgrywania „demoralizujących” i „bezbożnych” Igrzysk w Olimpii.

W pierwszym zestawie dziedzin musiałyby się znaleźć wszystkie dyscypliny „pornograficzne”, epatujące autentycznym okrucieństwem, nie udawanym lecz rzeczywistym, nie podrabianym lecz wyrafinowanym, nie teatralnym lecz z zasady jednorazowym, o wysokim prawdopodobieństwie kalectwa, a nawet śmierci uczestników. Nie każdy obserwator chce się przyznać do istoty swych emocji, nie każdy zresztą potrafi odkryć pełną prawdę o swej naturze. Doznania widowni „pornograficznej” sięgają na ogół aż do granic metafizycznych pokładów zła, sadyzmu, horroru. Kiedy leje się krew, trzeszcza kości, a twarze wykrzywia krzyk bólu i strachu, wówczas zachwyceni kibice przeżywają zbiorowo swoje stany rozkoszy destrukcji totalnej, tym mocniejsze, iż interpretowane są z pozycji nie tyle widzów, lecz i współsprawców sportowej zbrodni (a la Colosseum), którzy zakupem biletów i telewizyjnych abonamentów oraz głośno ponawianym życzeniem poświęcenia aktorów wywołują, niczym zbiorowy szaman, realny efekt ofiary już nie symbolicznej, lecz faktycznej, niestety. „Kolozeizacja” musi być traktowana nie jako nieprzewidziany incydent, lecz jako konieczny produkt gladiatorstwa, tudzież społecznej zgody na niebezpieczne, szaleńcze, skrajnie ryzykowne dziedziny sztuki zatracenia, wypełniającej programy wielu sportów ekstremalnych.

Główną, wręcz spektakularną ofiarą tej operacji stałyby się jednak, niestety, ukochane (także przeze mnie) z pozoru kulturowo opanowane regulaminami gry zespołowe, z piłką nożną na czele, dyscypliną gromadzącą wokół siebie nie tylko wyrafinowanych smakoszy, ale nade wszystko najdziksze, opanowane złością, szowinizmem i nietolerancją, mściwe i okrutne, najbardziej zwyrodniałe elementy społeczne. Mimo podejmowanych ustawicznie, wielce pomysłowych i intensywnych prób prewencyjno-pedagogicznych nie udało się nigdzie na świecie doprowadzić do uspokojenia i ucywilizowania widowni futbolowej inaczej, jak tylko poprzez półśrodki, czyli z zewnątrz nadchodzącą pomoc. Nie stało się też dotąd nic godnego uwagi wewnątrz wydarzeń sportowych i w obrębie naturalnej struktury przeżyć miłośników sportu. Muszą na razie wystarczyć hamulce sterowności pozasportowej: ostre restrykcje, mnożenie metod strachu, fizyczne bariery na stadionach, monitoring, nadzór policyjny, tudzież nadzwyczajny tryb karania przestępców sportowych. Od czasu do czasu zamyka się stadiony w ogóle, przyznając tym samym wprost, iż nie ma innych, skuteczniejszych sposobów, by zdusić zło w zarodku.

Na razie wiadomo jedno: całkowicie zawiodą wszelkie formy internalizacji wartości pozytywnych. Dotyczy to nawet przypadków osobników poza stadionem łagodnych przecie, grzecznych i w ogóle normalnych, zmieniających się wszelako natychmiast na widowniach meczów piłkarskich, jakby pod wpływem czarów, hipnozy czy narkotyków. Następuje proces nieuchronnej, aksjologicznej degradacji, indywidualnej i tłumnej zarazem, któremu niekiedy należałoby nadać, za Witkacym, nazwę zbydlęcenia. Jest ono zapewne

charakterystyczne dla biegu przemian współczesnej kultury w ogóle, aczkolwiek, rzecz dziwna, znajdującego dla siebie szczególnie ulubione rejony akurat w pobliżu boisk piłkarskich. To nie masy podążają za wymaganiami elit, ale przeciwnie, zanikają bezpowrotnie elity ducha, dostosowując swe gusty i gesty do najniższych standardów nieoświeconych tłumów. 20-wieczni katastrofiści kulturowi *nota bene* nader chętnie korzystali z przykładów zdegradowanej kultury sportowej, mimo, iż nieznanie im były przykłady najgorsze. Czy wystarczy jednak postawić diagnozę co do stanu rzeczy, kwitując z niesmakiem po raz kolejny fakt, iż dzieje się źle? Powraca bowiem natrętnie pytanie, niczym refren granego od lat przeboju: „co robić, aby było inaczej?”

Skoro nikłe są szanse na cudowne samo-ozdrowienie sportów walki zbiorowej oraz równie niewielkie jest prawdopodobieństwo rychłego znalezienia remedium na zło w postaci uniwersalnego eliksiru pozytywnej rewaloryzacji, może doprawdy słusniejsze będzie całkowite zamknięcie realnego bytu sportów plemiennych, nadto z surowym zakazem restytucji przez lat tysiąc? Formułuję tę propozycję z pewnym przestraczem, na pewno zaś w poczuciu negacji własnych poglądów sprzed lat, które nieodmiennie kończyły się zapewnieniem, iż sport, nawet jeśli jest grzeszny, to nie bardziej, niż reszta świata. Czy jednak chodzi tutaj rzeczywiście o cały sport, czy tylko o jego wyimek, stanowiący ostatnią redutę dziedzictwa agresywnej plemienności?

Co się stać może w przypadku narzucenia ostrych, likwidatorskich wędzideł na społeczne namiętności gawiedzi, tudzież wszystkich przyzwoitych ludzi, którzy pragnęliby czy też musieli zniżyć się do jej poziomu? Podejrzewać można, iż nie stałoby się nic strasznego. Tak kiedyś przecież zabroniono pojedynków, instytucji obrosłej przecież długą i dostojną tradycją, opatrzoną regulaminowymi obostrzeniami i swoście rycerskim kodeksem morderstw honorowych. Niemal z dnia na dzień, patrząc z lotu ptaka, wyeliminowane zostały publiczne egzekucje, rozrywka dla mas ogromnie przez wieki popularna i jak sądzono, również przydatna do sublimowania uczuć nieprzyjemnych i służąca moralnemu wychowaniu dobrych obywateli. Cóż się stanie, kiedy z miast i miasteczek znikną watahy kibiców, sunących po haszysz zbiorowego podniecenia, wyjących nienawistne pieśni, zagrzewających się do boju i wykorzystujących krzepę młodych organizmów w meczowych i pomeczowych burdach, wandalizmie i samosądach. Zmienić się może jedynie szczegółowy scenariusz spędzania weekendów, i nic ponadto. Gorzej być bowiem i tak nie może, niż jest.

Jeśli kogoś razi niestosowność i przesada zawarta w przytoczonych porównaniach i sformułowaniach, niech odrzuci tę część wyводу (z przyjęciem stosownych przeprosin). Sedno problemu wydaje się jednak jednoznacznie zdefiniowane. Sport rozdziwił się, wedle manichejskiej recepty. Dobry sport, niczym anioł pokoju, radości i szlachetnych postaw, odkrywa obok siebie, ze zdumieniem, demona mściwości, oszustwa i szowinizmu. Humanistyczną

wizję harmonii i rozwoju uzupełnia obraz sportowego potwora, pożerającego własnych zwolenników i uczestników wydarzeń.

Trzeba wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy i zacząć rozumieć sport w sposób pełny i wielostronny, wolny zarówno od uprzedzeń, jak i nikomu niepotrzebnych upiększeń ideologicznych. Nie wolno, rzecz jasna, rezygnować z uniwersalnej, optymistycznej koncepcji, głoszącej piękną, budzącą podziw ideę kalokagatii, a olimpizm współczesny, jako promotora i kontynuatora antycznej tradycji, z mocnym dopełnieniem przez główne nurty nowożytnej koncepcji człowieka pełnego, autonomicznego i szczęśliwego. Nie godzi się wszakże, w imię prawdy właśnie, nie dostrzec tego, co wykracza poza naiwny obraz pełnych uciechy, amatorskich, bezinteresownych zabaw dzieci i dorosłych, albo też widzieć w sporcie wyłącznie ekspresję uporządkowanych, skodyfikowanych zasad samodoskonalenia i samorealizacji. Należy zatem ujmować go w sposób realistyczny, jako aksjologicznie powikłany, acz kulturowo zagregowany ogół zjawisk z naszych mózgów i serc, przeżywanych bezpośrednio lub wpisywanych w wirtualne wzorce medialne i symbole, zarazem jednak ogół rzeczywistych zachowań stadionowych, zakulisowych machinacji, przekupstw i afer oraz ekscesów ulicznych.

Okazuje się tedy, iż to wszystko, co niepokoi, co budzi lęk i sprzeciw, to też jest sport. Co więcej: może właśnie to, i przede wszystkim to, jest w istocie sportem dzisiejszym, odbieranym przez ludzi wrażliwych niczym dopust boży i klęska żywiołowa, na którą nie ma, jak dotąd, dobrego sposobu, ani tym bardziej panaceum, zdolnego raz na zawsze uleczyć nas z tej społecznie groźnej choroby. Drastyczność ujęcia ogółu nadciągających niebezpieczeństw, owych krwi żądnych atawizmów, szowinizmów i rasizmów wokół stadionowych, być może, trąci pewną przesadą, pozwala wszelako dostrzec świat ostrzej i wyraźniej. Łatwiej przychodzi również uzmysłowić sobie nieprzyjemną i niewygodną myśl, iż w imię wyższych racji, należy od czasu do czasu, odważnie i zdecydowanie, skorygować zawartość kulturowej receptury, usuwając to, co zbędne, zdradliwe, a zwłaszcza co niezdrowe, sięgające aż po groźbę śmiertelnego niebezpieczeństwa.